

problemu. Nowemu Zespołowi życzyć należy sukcesu, a polskich badaczy zachęcić do prezentowania swych dociekań na międzynarodowym forum.

ANDRZEJ GULCZYŃSKI (Poznań)

Katarzyna Maćkowska, *Początki amerykańskiej administracji lokalnej (od założenia kolonii do 1787 roku)*. Wyd. KUL, Lublin 2012, ss. 490

I. Wybór tematu należy ocenić z uznaniem. Stany Zjednoczone Ameryki są od lat państwem świata, które wywiera nań swe wpływy gospodarcze, polityczne, militarne i kulturalne, jak żaden inny kraj. Wobec tego zgłębiania jego instytucji ustrojowych nigdy za wiele. Co się tyczy literatury polskiej, to ustrój żadnego innego państwa nie został tak dobrze opracowany jak właśnie USA. Nie znaczy to wszak, że wszystkie jego instytucje przeanalizowano dogłębnie. Z pewnością nie można tego rzec o amerykańskiej administracji lokalnej. W związku z tym książka autorki w poważnej mierze zapelnia tę lukę, mimo że traktuje zasadniczo o czasach kolonialnych.

II. Katarzyna Maćkowska włożyła dużo pracy w napisanie recenzowanej dysertacji, o czym świadczą nie tylko jej objętość i pokaźna bibliografia, której wykaz liczy sobie 22 strony. Sięgnęła do najważniejszych prac na interesujący ją temat. Do tego dochodzi jeszcze wykorzystanie źródeł, które w tej materii są nader bogate i mają zróżnicowaną naturę. W przeciwnym razie trudno byłoby mówić o rzetelnym opracowaniu tematu.

Chciałbym natomiast trochę pogrymasić w kwestii tytułu. Prezentuje się on wprawdzie zgrabnie, niemniej nie jest w pełni przemyślany. Otóż prawdą jest, że ostatnia z 13 kolonii (Georgia) została założona dopiero w 1732 r., niemniej pierwsza (Virginia) już w roku 1607. Początki trwające aż 180 lat mniej mogą się kojarzyć z powstawaniem administracji lokalnej, bardziej natomiast z nastawianiem okresu zlodowacenia. Wystarczyłby tytuł np. *Ewolucja amerykańskiej administracji lokalnej (1607-1787)*.

III. Recenzowana rozprawa składa się ze wstępu, 3 obszernych rozdziałów, zakończenia i bibliografii. W rozdziale I (60 stron) autorka analizuje pojęcie *local government* zarówno w ujęciu historycznym, jak i współczesnym. Dowodzi, iż termin ten jest bardzo szeroki i obejmuje instytucje samorządowe oraz rządowe. Co więcej, w okresie kolonialnym zawierano w nim ponadto rozwiązania ustrojowe szczebla władzy, który dziś nazwalibyśmy „centralnym”. Autorka porządkuje stosowane w literaturze przedmiotu terminy odnoszące się do podziałów lokalnych oraz organów działających w takich jednostkach. Odnoszę wrażenie, że wywodom tym pomogłaby pewna kompresja.

W rozdziale II (166 stron) znajdujemy omówienie amerykańskiej administracji lokalnej w latach 1607-1660. Autorka analizuje kolejno nadzór metropolii nad koloniami, zależność od kompanii handlowych, patenty i karty konstytucyjne, organy administracji lokalnej w poszczególnych koloniach itp.

Natomiast w rozdziale III (206 stron) autorka przedstawia amerykańską administrację lokalną w latach 1660-1787. Nastawienie metropolii wobec kolonii w Ameryce Północnej uległo bowiem istotnej zmianie po 1660 r., tj. od chwili restauracji dynastii Stuartów. Można się więc zgodzić z autorką, iż należało w związku z tym rozdzielić badania nad koloniami założonymi przed 1660 r. a tymi utworzonymi później.

Następnie natrafiamy na „Zakończenie”, które w istocie jest jej podsumowaniem, co i słusznie. Zakończenia mają bowiem sens głównie w powieściach.

Struktura pracy jest więc spójna i logiczna. Największą zasługę autorki upatruję w tym, że z dużej liczby źródeł i publikacji zdołała wyłowić zagadnienia najważniejsze i odpowiednio je uporządkować.

Jedyna moja uwaga krytyczna w tym względzie to konstatacja, iż te 3 rozdziały książki powinny w istocie być jej częściami, które należało rozbić na rozdziały właściwe, odpowiadające z grubsza podrozdziałom. Rozdział o objętości przekraczającej 100 stron przestaje być bowiem rozdziałem, podobnie jak marynarka sięgająca kolan staje się surdudem.

IV.1. Pozytywnie oceniam też osiągnięty rezultat badawczy. Autorka postawiła sobie za cel rozwiązanie określonego problemu naukowego i cel ten osiągnęła. Po lekturze jej dysertacji czytelnik rzeczywiście otrzymał dogłębną wiedzę na temat amerykańskiej administracji lokalnej ery kolonialnej i z okresu początków państwowości USA. Autorka również przekonująco udowodniła, że potrafi panować nad ogromem materiału. Mimo sporej objętości rozprawy jej wywody prowadzone są w sposób zdyscyplinowany. Na podkreślenie zasługuje przy tym sumiennosc, jak również autentyczna pasja badawcza. Widać, że autorce zależało nie tylko na stosownym dyplomie, lecz także na gruntownej analizie problemu naukowego.

Za szczególnie warte odnotowania osiągnięcia naukowe autorki należy uznać zamieszczane na końcu każdego rozdziału wnioski. Do tego należy dodać następujące ustalenia:

Po pierwsze – istniały różnice między statusem władztwa lokalnego w poszczególnych koloniach, począwszy od przyjętych podziałów lokalnych, poprzez zakres samorządności, organizację jednostek i działających w nich organów, a kończąc na podległej im jurysdykcji. Co więcej, tożsamość terminologiczna nie zawsze harmonizowała ze zbieżnością organizacyjną i funkcjonalną tychże jednostek i organów.

Po drugie – okoliczności, w których zainicjowano proces kolonizacji wpływały na elastyczny zakres zadań realizowanych przez kolonialne administracje lokalne oraz na łączenie przez nie funkcji wykonawczych z ustawodawczymi i sądowniczymi. Zjawisko to występowało oczywiście w tamtych czasach także w Europie, lecz w przypadku angielskiej, a później brytyjskiej Ameryki stanowiło ono reperkusję swoistego eksperymentowania na etapie, w którym jednostki lokalne zakładano od początku. Rodziło to potrzebę ustalenia nowych form udziału osadników w dyskusowaniu i decydowaniu w kluczowych dla wspólnoty sprawach.

Po trzecie – zgodnie z przyjętą w Konstytucji Stanów Zjednoczonych zasadą federalizmu nie podjęto żadnych prawnych działań ukierunkowanych na odgórne normowanie statusu administracji lokalnej. Niewiele miejsca poświęcono mu także w pierwszych konstytucjach stanowych, jeśli nie liczyć obowiązującej do dziś ustawy zasadniczej stanu Massachusetts z 1780 r.

Po czwarte – administracja lokalna poszczególnych kolonii i stanów kształtowała się do 1787 r. w sposób różnorodny. Obejmowała bowiem rozwinięte formy samorządowe (np. nowoangielskie zebrania gminne i wybieranych na nich urzędników), mieszane (np. nowojorskie zebrania gminne połączone z ważną rolą organów poszczególnych hrabstw i mianowanych urzędników) oraz scentralizowane (np. powoływani przez gubernatora administratorzy jednostek lokalnych w Georgii).

I po piąte – oryginalność tych rozwiązań wynikała przede wszystkim z miejscowych okoliczności wymuszających dostosowanie znanych kolonistom instrumentów prawnych do sytuacji nieprzewidzianych w planach osadniczych. Często też pozytywne efekty owego procesu adaptacji przynosiły skutek odwrotny od zamierzonego skutek lub przykrywały ideową treścią praktyczne cele. Część z nich jednak pozostawała przejawem reformowania europejskiej centralizacji i biurokratyzacji, dając podwaliny pod amerykańskie poszanowanie samorządności oraz prawną elastyczność funkcjonowania wspólnot lokalnych.

IV.2. Co się tyczy walorów naukowych recenzowanej monografii, to trudno naturalnie oczekiwać, by była ona wolna od wszelkich zastrzeżeń. I tak:

Wstęp można było poddać kuracji odchudzającej (s. 9-25). Po co bowiem rozpisywać się o tym, o czym autorka będzie pisać dalej – wystarczy trochę czytelniczej cierpliwości. Wstęp powinien zawierać jedynie 3 elementy: uzasadnienie wyboru tematu, założenia metodologiczne oraz opis źródeł.

To samo dotyczy szczerze serwowanych przez autorkę obszernych cytatów w języku angielskim zamieszczanych w przypisach. Można tolerować przypadki przytaczania oryginalnego brzmienia przepisów (czynił tak m.in. Karol Koranyi w swym podręczniku powszechnej historii państwa i prawa). Żadną miarą nie można akceptować przytaczania sążnistych cytatów w tekście głównym, a następnie podawania ich angielskich oryginałów w przypisach. Po co to? Czyżby autorka nie miała zaufania do swej lingwistycznej kompetencji? Jest ona więcej niż wystarczająca.

Nie inaczej należy ocenić uporczywe powtarzanie w nawiasach angielskich odpowiedników używanych przez autorkę terminów fachowych, jak np. *county*, *borough*, *city*, *town*. Ciągnie się to przez całą książkę; niekiedy nawet na tej samej stronie natrafiamy na dwukrotne przytoczenie tej samej nazwy w języku angielskim obok polskiego odpowiednika, np. powiat (*county*). Takie bombardowanie czytelnika angielskimi terminami czyni lekturę nużącą, a momentami wręcz irytującą. Pierwszy raz spotykam się z taką dziwaczną manierą. Jest to błąd w sztuce: trzeba raz i wystarczy. W nauce – a zwłaszcza w piśmiennictwie prawniczym – obowiązuje dyscyplina słowa: ani jednego zbędnego zdania, a nawet wyrazu. Brak tu stosownej czujności ze strony kolejno: opiekuna naukowego, recenzenta i redaktora. Gdyby „odessać” z pracy te powtórzenia oraz wspomniane wyżej dublowanie cytatów, książkę z powodzeniem można byłoby „wyszczuplić” o ok. 25%. Stałaby się dzięki temu czytelniejsza i bardziej ekologiczna.

Na s. 200 czytamy, że kolonia Rhode Island to kolebka amerykańskiej demokracji. Nie negując tego poglądu, trzeba wskazać, że kolonia ta ma większą zasługę dla USA niż demokracja – Amerykanie przecież jej nie wymyślili – a mianowicie, że jest kolebką instytucji rozdziału Kościoła od państwa, a to już ich wynalazek. Informację o tym znajdujemy na s. 209-210. Na marginesie, brak mi tu przytoczenia monografii

Tadeusza J. Zielińskiego *Roger Williams – twórca nowoczesnych stosunków: państwo – Kościół*. Warszawa 1997. Widać tu – podobnie jak i w innych publikacjach autorki – typową dla przedstawicieli nauki polskich uczelni katolickich manierę ignorowania lub niepełnego uwzględniania prac autorów reprezentujących laicką opcję światopoglądową. Z tym, że u autorki maniera ta występuje jeszcze w strawnym natężeniu.

Wbrew autorce (s. 124) trójpodział władzy wyklucza supremację któregośkolwiek z organów państwa (kolonii).

Autorka polemizuje z moją tezą, iż tzw. *religious establishment* zakładał m.in. stosowanie przymusu państwowego (s. 143). Cóż, może i ma rację, ale jej argumentacja nieszczególnie harmonizuje z jej własnymi uwagami na s. 259 (wersy 5-7 od góry).

Autorka bezkrytycznie przyjmuje tezę S. Grzybowskiemu jakoby Roger Williams stał się założycielem kongregacjonizmu (s. 211). No, chyba że termin „kongregacjonizm” będziemy tu pojmować w znaczenie mocno fantazyjnym. Kim w takim razie byli John Cotton i John Winthrop? Williams jest zaliczany do tzw. baptystów-separatystów, a że opowiadał się za niezależnością gmin wyznaniowych (kongregacji), to jeszcze nie czyni go kongregacjonistą. Podobnie fakt zażywania przez czelęka lekarstw nie czyni go jeszcze lekarzem.

O funtach szterlingach słyszałem, lecz o „szylingach szterlingach” (s. 347) już nie.

IV.3. Jak już wspominałem, kompetencje językowe autorki są więcej niż wystarczające. Nie oznacza to jednak, że wszystkie jej tłumaczenia trafiają do przekonania. Oto przykłady:

Wiadomo, że nazwa *county* w odniesieniu do USA nie ma dobrego polskiego odpowiednika. Oznacza ona „hrabstwo”, a Stany są republiką, toteż Polonia amerykańska używa określenia „powiat” (s. 52, 53); tak samo czyni autorka. Jest to wszak pewne uproszczenie. Uważam, że stosowniejszą nazwą byłoby tu „hrabstwo”, ponieważ monografia dotyczy głównie czasów kolonialnych. A skoro tak, to wydaje się, że powinna obowiązywać nomenklatura stosowana w metropolii. Natomiast niewątpliwym nadużyciem jest odniesienie nazwy „powiat” do hrabstwa Devon w tej ostatniej (s. 108).

Cokolwiek dowolnie traktuje autorka termin *court*, oddając go zwykle jako „sąd”. Tymczasem słowo to ma wiele znaczeń, a w koloniach obok sądu właściwego oznaczało także wspólny organ sądowo-administracyjny (*county court*) – będący naśladownictwem angielskiej instytucji sędziów pokoju – lecz także kolonialną legislaturę (*General Court*). O tym autorka wie (*vide* s. 218), a mimo to niekiedy z rozpędu rozciąga nazwę „sąd” także na tę ostatnią (m.in. s. 82, 244 i 403).

U.S. Code to nie jest jakiś *Kodeks Stanów Zjednoczonych* (s. 38), tylko *grosso modo* odpowiednik naszego „Dziennika Ustaw”.

Freeholders to wolni właściciele ziemscy, czyli zazwyczaj – bo z wyjątkiem latyfundystów – po prostu wolni chłopci, zwani u nas wskutek nadmiernej rewerencji farmerami. Toteż nieopatrzne nazwanie ich „ziemianami” (s. 14) to już prawdziwa nobilitacja (*vide* wszak s. 71).

Virginia Statute for Religious Freedom pióra Jeffersona to nie „Statut Virginii o wolności religijnej” (s. 438), tylko Ustawa Virginii itd.

Na s. 189 nie przetłumaczyłbym w tym kontekście *marshall* jako marszałek; może „komendant”?

V. Język książki jest kwestią niewiele mniej ważną od wyżej wymienionych, ponieważ słowo pozostaje najważniejszym narzędziem pracy prawnika. Generalnie praca jest napisana ładną, klarowną polszczyzną.

Generalnie, bo uświadczamy w niej takie wpadki, jak: „nie aplikuje się zasady” (s. 58); „determinantu” (s. 114); „progresu systemu” (s. 123) lub „progresu kolonii” (s. 384); „gradualnym zmniejszaniu” (s. 167); „idea ekscypcjonizmu” (s. 168); „konstruuąc kolonię” (s. 197); „serwant” (s. 213); „dyferencje” (s. 244, 452); „ludność serwilna” (s. 229); „konstytuująca indywidualizm” (s. 231); „rozpowszechniać edukację” (s. 238); „regulacja procederu przyjmowania” (s. 247); „niewielkie znaczenie odgrywało” (s. 262, s. 413); „zawnioskują” (s. 334); „ustanowienie gminą do przyjmowania” (s. 350); „sędziowie konstytuowali sądy” (s. 357); „normatywne ukierunkowanie na wzrost znaczenia” (s. 380); „eklezjastycyzm” (s. 392).

Dziwnie brzmią też takie określenia, jak „rakarz trzody chlewnej” (s. 82), „suwren władzy” (s. 92), „sadzić zboże” (s. 129), „uszcęgóławiać” (s. 184, 210) miast „konkretyzować”, „nadawca” (s. 228) miast „nadający”, „mielenie mąki” (s. 277), „otrzymanie grantu” (s. 222, 226, 227) zamiast „otrzymanie nadania”.

Pojawia się określenie „dywagować” (s. 46), które oznacza tyle co „bredzić”, ale mało kto o tym wie. Trafia się *accusativus iudaicus* (np. na s. 73 „jest uzgodnionym”, a także na s. 149, 192, 205). Nagminnie spotykamy żargonowe określenie „zapis” zamiast poprawnego „przepis”. Rzecz w tym, że o ile każdy przepis jest zapisem, o tyle nie każdy zapis jest przepisem.

Poza tym warto było pamiętać, że ludzkość dokonała takiego wynalazku jak errata. Bo mamy: *treasures* (s. 17) zamiast *treasurers*; Hakluyt (s. 104) i Hackluit (s. 106); *countrywide* (s. 186) miast *countryside*; „Ogelthorpe” i „Oglethorpe” (s. 346, 347); „Tapahannock” i „Raphahannock” (s. 354); „Culperer” (s. 413), a powinno być Culpeper; „Annapolis” (s. 429, 430) i „Annapolis”; „Hunderd” sąsiaduje z „Hundred” (s. 370) itp.

Autorka posługuje się też dwoma archaizmami, a mianowicie „takowe” i „jednakowoż”, które brzmią pretensjonalnie. Z kolei „paradygmat” (s. 451) to coś więcej niż synonim określenia „wzorzec”. Niezbyt elegancka jest również pisownia np. „niejaki A.B.”, bo to brzmi nieszczerze szczególnie pochlebnie (np. „niejaki Lepper”); powinno być „p. A.B.”

Czytając te uwagi, można byłoby sobie pomyśleć, że mentor raczy młodą adeptkę wiedzy ustrojowej całymi porcjami mało sympatycznej pedanterii. Otóż to nie tak. Na jej usprawiedliwienie można rzec, że kompetentna redaktorka nie powinna była tego wszystkiego „przepuścić”. Za pobieranie pensji trza jednak coś zrobić, choćby była ona niewygórowana. Jakkolwiek to autorka „świeci oczyma” za swą rozprawę, to jednak w wymiarze moralnym odpowiedzialność tę dzielą z nią również opiekun naukowy, recenzent wydawniczy i redaktor. Czy trójca ta stanęła na wysokości zadania? W każdym razie przydałoby się tu trochę protestanckiej etyki pracy...

VI. Jak z powyższego wynika, moje pretensje do autorki mają charakter druzgędny. Sporą ich część należy rozpatrywać w kategoriach konkurencji lepszego z dobrym. Nie są więc w stanie podważyć zdecydowanie pozytywnej oceny recenzowanej monografii.